

Izabella Cywińska

Jak się Pani czuje po swym pierwszym serialu telewizyjnym „Boża podszewka”, który tak burzliwie był przyjmowany przez publiczność?

Z jednej strony, bardzo dobrze. Z drugiej, lekko obolała i zdziwiona.

Czym?

Tym że obok ludzi wrażliwych, którzy potrafili dojrzeć w naszym serialu nawet najbardziej ukryte piękno opisanego świata ludzi i przyrody, istnieją i tacy, którzy nie chcą niczego widzieć, niczego nie przyjmują do wiadomości. Oni chyba oczekiwali filmu opartego na scenariuszu zbliżonym, lub nawet identycznym z ich własnymi życiorysami, z ich wrażliwością, ich zasadami moralnymi. Oczekiwali tego od nas, ale sami scenariusza nie napisali. To idiotyczny sposób myślenia. W ten sposób można by poprawiać każdy film, każdą książkę w nieskończoność i bez szans. Bo tyle życiorysów i tyle poglądów, co ludzi. Ale proszę wierzyć, więcej miałam radości z mojej „Bożej podszewki” niż zmartwień. To wielka satysfakcja, że właśnie serial polski, wreszcie nie najłatwiejszy i nie najweselszy, miał oglądalność równą największym hitom emitowanym w tym czasie we wszystkich telewizjach. Średnio 21-procentowa oglądalność 15 odcinków to blisko 6 milionów widzów zasiadających co niedzielę przed telewizorami. A w tym 75 proc. oceniło serial bardzo wysoko. Dostałam ponad setkę listów. Niestety, wśród wielu serdecznych, dużo brutalnych, obraźliwych, pełnych wyzwisk i przekleństw. „Boża podszewka” wzbudzała namietność i krańcowe opinie. W Białymstoku, gdzie byłyśmy z autorką książki, Teresą Lubkiewicz-Urbanowicz, zaproszone na spotkanie, przywitała nas pikieta Młodzieży Wszechpolskiej z transparentami wymyślającymi nam od „bol-szewickich sługusów”.

Dlaczego tak?

Sama nie rozumiem. Nie mogę zrozumieć także innych działań tej młodzieży, rzekomo patriotycznej, a naprawdę nacjonalistycznej. Ale niektórzy koledzy zazdrościli mi tej antymanifestacji, bo mimo wszystko świadczyła, że serial ludzi poruszył. A mówi się, że kultura ma to już kogo w Polsce obchodzi.

Wzięła Pani na siebie ciosy za autorkę „Bożej podszewki”?

Nie należy porównywać mojej reżyserskiej odpowiedzialności i autorskiej odpowiedzialności Teresy. To dwie różne sprawy. Pochwały sprawiają nam radość „po równo”, bo tak to z pochwałami bywa. Ale zarzuty? Tych brutalnych ataków, wyzwisk czy kierowanych tylko do mnie zarzutów typu: brak talentu i zakłamywanie historii, nie brałam poważnie. To nie był przecież film historyczny ani dokument. Nie miałam wcale ambicji, by cokolwiek uogólniać czy uniwersalizować, a już w żadnym wypadku „dawać świadectwo”. To był film artystyczny. Historia dwu kobiet i ich rodziny. Te same zarzuty stawiane autorce, która pisząc swoją książkę, częściowo autobiograficzną (do czego się przyznawała), zacerpnęła z tragicznego losu swojej chorej psychicznie matki, były dla niej bolesne, bo bardzo osobnie ją dotykające. Słowa: „Nie obchodzą mnie brednie chorej baby”, wykrzywane po chamsku na jednym z gorących spotkań, rzekomo w obronie „dobrego imienia wilniaków”, świadczą dowodnie, że różni bywali wilnianie. Także, wbrew opiniom, brutalni, głupi, chamscy i prymitywni. Ale obok nich piękni, dobrzy, bohaterscy i pełni szczególnego humoru. Bo wszędzie są ludzie i ludziska. W każdym z nas, niezależnie czy urodziliśmy się nad Wisłą, czy nad Wilią, mieszka i anioł, i diabeł. Równocześnie!

Każdy jednak idealizuje swoje dzieciństwo i młodość. Gdyby miała Pani sfilmować swoją przeszłość, jaka by ona była?

Miałam bardzo piękne dzieciństwo. Urodziłam się we Lwowie, ale wychowałam we dworze na Lubelszczyźnie, koło Kazimierza.

Powiedziała Pani „bardzo piękne”. Czy nie jest to idealizowanie?



Chcę pokazywać prawdę o człowieku, a ta prawda jest przecież różna

FOT. ARCHIWUM

Było rzeczywiście piękne. Choć nie brakowało w nim rzeczy okrutnych i obrzydliwych. Nie znoszę kłamstw. Chcę przede wszystkim pokazywać prawdę o człowieku. A ta prawda jest przecież różna.

Może przez to właśnie Pani się naraża publiczności, dla której prawda, czasem przecież okrutna, jest powodem do agresji?

W „Bożej podszewce” nie było okrutnej prawdy.

Ludzie wołają w sztuce szukać tylko piękna...

Jacy ludzie? Proszę mi wierzyć, widzowie „Bożej podszewki” to w większości tzw. zwykli ludzie, a nie

intelektualiści, którzy z zasady seriali telewizyjnych nie oglądają.

Doświadczenie „Bożej podszewki” nie zniechęciło więc Pani, prawda?

Oczywiście, że nie.

Wydaje mi się, że Pani reprezentuje taki rodzaj kobiecości, który w Polsce nie spotyka się z ogólnym aplauzem.

Też tak sądzę. Jestem osobą kontrowersyjną. Mało jest wokół mnie osób obojętnych. Mam albo przyjaciół, albo wrogów. W tej „Bożej podszewce” musiało być rzeczywiście też coś ze mnie, skoro tak właśnie była przyjmowana.

Należy Pani do tych bab, które rządzą, które zawsze były na kierowniczym stanowisku, a do tego ciągle młodo wyglądają, więc na pewno zawarły pakt z diabłem. Kobiety takich konkurentek nie lubią.

Myli się pan. Myślę, że wśród moich wrogów jest co najmniej tyle samo mężczyzn. Oni też nie lubią, gdy baba się czymkolwiek wyróżni, wysunie się przed szereg. Ot, polskie piekło...

Wiem, że Janusz Michałowski jest jednak szczęśliwym Pani mężem...

Ja nie mówię o mężu, o przyjaciółtach, których mam wielu wśród mężczyzn, ale o tzw. obcych.

Często słyszę też od Pani aktorów, że poszliby za Panią w ogień.

Aktorzy bezpiecznie oddają mi się w ręce, wierząc, że nie pozwolę im się skompromitować. To mnie cieszy.

A co nowego będzie Pani reżyserować?

Przygotuję dla teatru telewizji „Drzewo” Wiesława Myśliwskiego. Mam też niedługo rozpocząć próby w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Janusz Głowacki kończy dla mnie nową sztukę. A, poza tym, przygotowuję się do kolejnego debiutu. Tym razem filmowego.

Nie boi się Pani?

Z natury nie jestem strachliwa, a po „Bożej podszewce” tym bardziej nie. Pikiety Młodzieży Wszechpolskiej już mi niestraszne.

Dziękuję Pani za rozmowę.

**Rozmawiał
Kazimierz Sobolewski**

Izabella Cywińska – reżyser teatralny, kierowała m. in. teatrami w Kaliszu i Poznaniu. Była ministrem kultury i sztuki w latach 1989 – 1991. Reżyserka kontrowersyjnego serialu „Boża podszewka”.